

Andrzej Wierzbicki

## A kiedy źródeł zabraknie? Kartki z dziejów historiografii PRL\*

Jeszcze przed zapowiadaną jako początek marksistowskiego przełomu w polskiej historiografii, a będącą w istocie najbardziej spektakularną formą jej „stalinizacji”<sup>1</sup>, konferencją otwocką (grudzień 1951–styczeń 1952) niektórzy, skądinąd przeważnie młodzi entuzjaści materializmu historycznego, wyrażali przekonanie, że wyznawana przez nich teoria otwiera przed historykami nowe możliwości nie tylko w dziedzinie krytycznej analizy źródeł, ale i wówczas, gdy tych źródeł w ogóle nie ma lub zachowały się jedynie w postaci szczątkowej. Wierzyli oni, że z marksistowskich praw i prawidłowości dziejowych wysnuć można wiedzę o wydarzeniach źródłowo niepotwierdzonych i wiedza ta będzie miała status równorzędny w stosunku do wiedzy pozyskiwanej tradycyjną, „źródłową” metodą. Przestrogi starszych kolegów, że wiarygodnej wiedzy o przeszłości nie da się zdobyć w oderwaniu od źródeł, traktowali jako wyraz pesymistycznego agnostycyzmu<sup>2</sup>, a ten, pamiętajmy, przypisywany był w owych czasach wrogiej historiografii „burżuazyjnej”.

---

\* Podstawą tego artykułu był referat A. Wierzbickiego wygłoszony na XVIII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Olsztynie (2009); po raz pierwszy ukazał się drukiem w książce: *Historyk wobec źródeł. Historiografia klasyczna i nowe propozycje metodologiczne*, red. J. Kolbuszewska, R. Stobiecki, Łódź: Wydawnictwo Ibidem, 2010, s. 131–140. Dziękujemy Wydawnictwu Ibidem za zgodę na publikację tego tekstu. Zapisy bibliograficzne zastosowane w oryginale zostały ujednolicone według zasad stosowanych w „Klio Polskiej” [przyp. red.].

<sup>1</sup> Na temat „stalinizmu” i „stalinizacji” polskiej nauki historycznej zob. R. Stobiecki, *Historia pod nadzorem, spory o nowy model historii w Polsce (II połowa lat czterdziestych – początek lat pięćdziesiątych)*, Łódź 1993, s. 99 n.; tenże, *Bolszewizm a historia. Próba rekonstrukcji bolszewickiej filozofii dziejów*, Łódź 1998, s. 132 n., gdzie m.in. mowa o „bogoLeninie” i „bogoStalinie”; tenże, *Historiografia PRL. Ani dobra, ani piękna..., ale skomplikowana. Studia i szkice*, Warszawa 2007, s. 42 n.; T.P. Rutkowski, *Nauki historyczne w Polsce 1944–1970. Zagadnienia polityczne i organizacyjne*, Warszawa 2007, s. 5 n.; tenże, *Polskie Towarzystwo Historyczne w latach 1945–1948. Zarys dziejów*, Toruń 2009, s. 79–94, gdzie opis przygotowań, przebiegu i ocen konferencji otwockiej.

<sup>2</sup> Zob. H. Łowmiański, *Granice poznania historycznego*, w: *Pierwsza Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich*, t. 1[: *Przemówienia – referaty – dyskusja*], Warszawa 1953, s. 106.

Nadzieje tych, którzy oczekiwali, że konferencja otwocka usankcjonuje metodę wyprowadzania wydarzeń nie ze źródeł, lecz z teorii okazały się płonne. Już w otwierającym obrady referacie Józef Gutt nie pozostawił cienia wątpliwości co do tego, że historia bez źródeł nie ma racji bytu. „Rozumienie procesów historycznych — mówił — i ich słuszna ocena możliwa jest jedynie na podstawie założeń metodologii marksistowsko-leninowskiej; jednocześnie należy zdawać sobie sprawę z tego, że badać należy proces historyczny taki, jaki jest nam dany w źródłach, bez dodawania od siebie i odejmowania, bez z góry powziętych założeń i syntez, bez wnoszenia z zewnątrz do historycznych procesów, praw i prawidłowości”<sup>3</sup>. Z taką dyrektywą metodologiczną, jeśli pominąć jej marksistowsko-leninowską preambułę, zgodziłby się zapewne każdy z historyków wykształconych według rygorów klasycznej, sięgającej jeszcze XIX wieku sztuki historycznej. Zupełnie jednak nie przystawał do owej dyrektywy entuzjazm, z jakim w tym samym tekście Józef Gutt mówił „o nieograniczonych możliwościach” poznania „całego biegu historii”, jakie historykom miała zapewniać marksistowska postawa metodologiczna<sup>4</sup>. Postulaty konieczności poznania opartego na źródłach kolidowały w sposób oczywisty z optymizmem i maksymalizmem poznawczym przebijającym z tych słów. Wszak nie wszystkie wydarzenia składające się na „cały bieg historii” pozostawiają takie ślady, do których historyk potrafi dotrzeć i które potrafi odczytać. Czy zatem milczenie źródeł można zastąpić teorią i w odwołaniu do niej opisać wydarzenie „pozaźródłowe”, czyli mówiąc innymi słowy wydarzenie, o którym nic nie wiemy, a które „musiało” lub też „powinno być” zaistnieć? Kwestię tę dostrzegł Henryk Łowmiański, który mówił w Otwocku, że na poziomie „konkretnych, jednostkowych, specyficznych faktów” często mamy niewystarczające źródła lub w ogóle ich nie mamy. A choć w miarę upływu czasu ich zrąb powiększa się między innymi poprzez włączanie źródeł archeologicznych, to w wielu wypadkach skazani jesteśmy na odpowiedzi hipotetyczne. „Czy to stwierdzenie będzie zgodne z tezą o nieograniczonych możliwościach poznawczych historii? Czy nie należy uznać raczej, że stan zachowanych materiałów źródłowych określa granicę poznania historycznego?” — zapytywał Łowmiański i konkludował: „Zdaje mi się jednak, iż kwestia granic poznania historycznego w stosunku do stanu źródeł powinna być jasno postawiona na takiej konferencji jak obecna”. Niepokoiła go przy tym skłonność do „zbyt pośpiesznego rozwiązywania skomplikowanych problemów historycznych, a w konsekwencji wulgaryzacji historii, przed czym tak słusznie przestrzegają klasycy marksizmu, co też zaznaczyli zarówno red. Gutt, jak prof. Tretiakow”<sup>5</sup>.

Jeżeli przeszłość poznawalna jest tylko za pośrednictwem źródeł, to poznanie historyczne nosi charakter „pośredni”, a to sytuuje naukę historii jak gdyby w drugim

<sup>3</sup> J. Gutt, *Niektóre zagadnienia poznania historycznego w świetle materializmu dialektycznego i historycznego*, w: *Pierwsza Konferencja...*, t. 1, s. 49.

<sup>4</sup> Tamże, s. 43.

<sup>5</sup> H. Łowmiański, dz. cyt., s. 106.

rzędzie nauk o społeczeństwie. Wolor poznania „bezpośredniego”, przypisywany zazwyczaj tym dziedzinom nauk społecznych, które badają „współczesność”, historii nie przysługuje i na tym polega jej specyficzność. W otwockich dyskusjach na temat relacji historia a źródła polemikę z tezą o specyficzności nauki historycznej, mającej polegać na jej źródłowym charakterze, podjął Witold Kula. Wskazał on, że cała humanistyka oparta jest na źródłach, również ta, która zamyka swój przedmiot badania w obrębie tzw. współczesności. Odmienność historii polega jedynie na tym, że przytłaczająca większość źródeł, którymi się ona posługuje, powstała bez źródłotwórczych intencji. Źródła „wywołane”, a w istocie współtworzone przez socjologa czy też badacza czasów najnowszych (typu ankiety, relacje bądź powstałe na zamówienie pamiętniki) w całokształcie źródeł historycznych zajmują niewiele miejsca. Jednak i one nie zapewniają poznania „bezpośredniego”, a co więcej zmuszają do poddania krytyce najpierw metod, jakimi zostały sporządzone, a dopiero potem zawartych w nich treści<sup>6</sup>.

Pietyzm, z jakim na konferencji otwockiej mówiono o źródłach historycznych mógł mieć swe podłoże w przyjmowanym mniej lub bardziej świadomie założeniu, że właśnie w źródłowej specyfice historii można szukać przeciwwagi dla coraz bardziej realnego niebezpieczeństwa zaanektowania przeszłości przez marksistowską dogmatykę. Tym bardziej że widmo historii wysnutej z teorii nie ominęło Otwocka. Zasadę głoszącą, iż o wydarzeniach i procesach dziejowych można mówić tylko wówczas, gdy są one źródłowo potwierdzone zakwestionował Kazimierz Myśliński, który odnosząc się krytycznie do wystąpienia Łowmiańskiego, wygłosił taką oto pochwałę metody ekstrapolacji: „Oczywiście, jeżeli mamy do czynienia z brakiem źródeł, albo z ich jednostronnością, powstaje luka, którą trudno historykowi wypełnić. Wydaje się, że w takich warunkach jest rzeczą niezbędną uzupełnić brak czy jednostronność źródeł tezami ogólnej nauki o społeczeństwie, osiągniętymi przez badanie innych społeczeństw. Ale skoro przed takimi uzupełnieniami za pomocą ogólnej nauki o społeczeństwie historycy wolą się cofnąć, lękają się tego rodzaju postępowania, rezultatów nie będzie. Wydaje mi się, że wtedy nie uzyskamy pełnego obrazu rozwoju społecznego i żadne hipotezy nie zastąpią nam tego braku, a wobec tego nie będziemy w stanie ustalić prawdy historycznej. Aby luki spowodowane brakiem źródeł albo ich jednostronnością uzupełnić tezami marksistowskiej nauki o społeczeństwie, trzeba jednak proces historyczny pojąć jako dialektyczny, tzn. jako autonomiczny, własny proces społeczeństwa, rozwiązujący się pod naciskiem własnych, działających w nim sił”<sup>7</sup>.

Takie założenia teoretyczne i metodologiczne Myśliński zastosował do rozstrzygnięcia kwestii przyczyn zjednoczenia Polski w XIII i XIV wieku. Zastosowany przez

<sup>6</sup> W. Kula, *Specyficzność poznania historycznego. Fakt i interpretacja. Idiografizm i metoda ilościowa. Periodyzacja w historii*, w: *Pierwsza Konferencja...*, t. 1, s. 100.

<sup>7</sup> K. Myśliński, *Prawda historyczna. Postępowość w nauce historycznej. Historyk wobec niewystarczających źródeł*, w: tamże, s. 130–131.

niego typ eksplikacji, sprowadzający się do rozważenia jedynie dwóch wariantów wyznaczonych przez opozycję przyczyn zewnętrznych i wewnętrznych, był schematyczny i daleki od nowatorstwa, a cały wywód daleki od koherencji. Gdybyśmy ograniczyli się tylko do „jednostronnych źródeł” – dowodził Myśliński – musieliśmy uznać, że Polska zjednoczyła się pod wpływem czynników zewnętrznych, ale przecież owa konstatacja byłaby sprzeczna z teorią marksistowską, mówiącą o „autonomicznym” (autodynamicznym) rozwoju społeczeństwa, napędzanego siłami wewnętrznymi. Tak być nie może. Zjednoczenie Polski „musimy” zatem traktować jako jeden z przypadków przejawiania się prawidłowości rozwojowej, jaką jest autodynamiczny proces rozwoju społecznego.

Uznanie ontologicznej i co za tym idzie epistemologicznej wyższości czynników wewnętrznych nad zewnętrznymi czy, by użyć nomenklatury upowszechnionej w późniejszych latach przez Jerzego Topolskiego, wyjaśniania dyspozycyjnego nad ściśle przyczynowym, było wprawdzie w niezgodzie z zachowanymi „jednostronnymi” źródłami, lecz w ostatecznym rozrachunku to teoria wysnuta jakoby z badania innych społeczeństw, a nie źródła, przynosiła odpowiedź na pytanie o przyczyny zjednoczenia Polski. Takie stanowisko zajęte przez Myślińskiego pozostawało w oczywistej sprzeczności ze słowami, którymi podsumowywał on swe wywody: „Otóż w wypadku, gdy źródła nie dostarczyły należytej podstawy do tego, aby przedstawić proces zjednoczenia Polski jako proces prawidłowego rozwoju samego społeczeństwa polskiego, trzeba wytłumaczyć to zjawisko odwołując się do prawidłowości ogólnej nauki o społeczeństwie, stwierdzonej na innych przykładach, z tym jednak zastrzeżeniem, że uzupełnienia te nie będą w sprzeczności z zachowanymi źródłami. Będzie to sprawdzianem, że w tym wypadku i w wypadkach podobnych postępowanie nasze jest słuszne”<sup>8</sup>. Niespójność tych ostatnich słów z całym tokiem wywodów Myślińskiego jest wręcz oczywista. Bo przecież wcześniej sam konstatował, że istnieją „jednostronne źródła”, wskazujące na zewnętrzne przyczyny zjednoczenia Polski, jednak źródła te odrzucił jako nie przystające do marksistowskiej tezy o autonomicznym (autodynamicznym) rozwoju społeczeństw eksponującej przyczyny wewnętrzne. Nie warto tu wchodzić w meandry i nieścisłości otwockiej wypowiedzi tego historyka, która odebrana została dość jednoznacznie jako apologia stanowiska głoszącego, iż jeżeli teoria przeczy źródłom, tym gorzej dla źródeł.

Teza o możliwości uzupełniania faktograficznej tkanki historii przez wydarzenia i procesy wywiedzione jedynie z praw i prawidłowości rządzących dziejami, czy też w dziejach przejawiających się, była na tyle bulwersująca, że spotkała się nawet z oporem heroldów marksistowskiego przełomu metodologicznego. Szczególną wymowę miały tu słowa Żanny Kormanowej: „Jeden z moich przedmówców mówił, że skoro historykowi brak źródeł, powinien je zastąpić tezami z ogólnej nauki

<sup>8</sup> Tamże, s. 130–131.

o społeczeństwie. Nie sądzę by to twierdzenie wypływało z praktyki, z badania. Historyk nie może pracować nie opierając się na źródłach, nie może źródeł, faktów zastępować tezami; chyba że ucieknie się do owych tez jedynie jako do hipotezy roboczej, że będzie szukał dla nich pokrycia faktów w materiale naukowym”<sup>9</sup>.

Trzeba przyznać, że Kormanowa w swym ujęciu relacji teoria-źródła zachowała dużo zdrowego rozsądku. Składając ukłon, jakby to dwuznacznie dziś nie zabrzmiało, „pomnażającej” i „wprowadzającej szereg nowych źródeł” nauce radzieckiej, wskazując na wielkie pod tym względem osiągnięcia radzieckiego językoznawstwa<sup>10</sup>, w teorii rozwoju społecznego dostrzegła „drogowskaz przy wyszukiwaniu nowych źródeł”, a tym samym usytuowała ją wysoko, ale bynajmniej nie w konflikcie ze źródłami.

Najbardziej spektakularnym obszarem, na którym usiłowano zastosować nowatorską metodę wywodzenia (wyprowadzania) wydarzeń z teorii stała się kwestia przejść międzyformacyjnych. Przypomnieć wypadnie, iż jeden z głównych marksistowskich dogmatów stanowił, że przejście od jednej formacji społeczno-ekonomicznej do drugiej możliwe jest tylko na drodze rewolucji. Problem w tym, że źródłowe potwierdzenia wraz ze stosunkowo precyzyjnym usytuowaniem w czasie można było znaleźć jedynie dla rewolucji burżuazyjnej i socjalistycznej, brakowało ich natomiast dla rewolucji feudalnej. Gnębiło to historyków polskich w trakcie otwockiej konferencji aż do czasu, gdy w sukurs przyszli im jej radzieccy uczestnicy.

Kwestia przejścia międzyformacyjnego pojawiła się w wystąpieniach goszczących w Otwocku profesorów Eugeniusza Kosmińskiego i Piotra Tretiakowa. Pierwszy, powołując się na Józefa Stalina, zwrócił uwagę, że niezależnie od problemu „powstawania feudalizmu przez rozkład wspólnoty pierwotnej z pominięciem stadium niewolnictwa”<sup>11</sup>, charakter rewolucji feudalnej miały rozciągnięte w czasie zbrojne ruchy niewolników i kolonów oraz najazdy germańskich barbarzyńców na cesarstwo zachodnie. Podobną rolę miało spełnić parcie plemion słowiańskich, arabskich i ormiańskich na cesarstwo wschodnie. Znacznie oszczędniej i ostrożniej wypowiedział się na temat przejścia do feudalizmu Piotr Tretiakow: „Wyobrażam sobie sprawę w ten sposób, że proces rozpadu wspólnoty pierwotnej i kształtowania się stosunków feudalnych jest długotrwały”<sup>12</sup>. Jednoczącą wypowiedzi Kosmińskiego

<sup>9</sup> Ź. Kormanowa, *Zagadnienie partyjności w nauce historycznej*, w: *Pierwsza Konferencja...*, t. 1, s. 134–135.

<sup>10</sup> W roku 1950 Józef Stalin opublikował w „Prawdzie” cykl artykułów, które ujęte całościowo weszły w Polsce do obiegu pod tytułem *Marksizm*, a zagadnienia językoznawstwa uznane zostały za biblię „socjalistycznej” humanistyki owych lat.

<sup>11</sup> E. Kosmiński, *Aktualne zagadnienia mediewistyki marksistowsko-leninowskiej*, w: *Pierwsza Konferencja...*, t. 1, s. 353.

<sup>12</sup> P. Tretiakow, *Rozkład ustroju wspólnoty pierwotnej i kształtowanie się społeczeństwa klasowego. Znaczenie wpływów rzymskich na Słowiańszczyznę*, w: tamże, s. 270.

i Tretiakowa tezę o rewolucji feudalnej trwającej kilka stuleci podchwycił skwapliwie Marian Henryk Serejski, który nie ukrywał, że tylko ona da się pogodzić z przekazami źródłowymi. Serejski mówił: „Jest rzeczą szczególnie ważną, że zarówno akad. Kosmiński, jak i prof. Tretiakow rozprawili się ze stanowiskiem krańcowo przeciwnym teorii ciągłości, wulgaryzującym pogląd o rewolucyjnym przejściu od starożytności do średniowiecza. Próbowano już ten pogląd rozumieć w sposób uproszczony. Żądano od nas, ażebyśmy wskazali roczną datę, kiedy nastąpiła rewolucja niewolników i kolonów, która obaliła formację niewolniczą, a stworzyła formację nową. Tu z ust autorytatywnych słyszeliśmy wyraźnie, że tego rodzaju stanowisko jest uproszczeniem i wulgaryzowaniem teorii marksistowskiej. Wiemy dobrze, że zarówno wychodząc z założeń teoretycznych, jak i z bazy źródłowej, na której opierać się musimy, mówić możemy jedynie o rewolucji długotrwałej, o kryzysie strukturalnym. Kryzys ten obfitował w ciągle, stale powtarzające się powstania, ruchy rewolucyjne kolonów, niewolników, żołnierzy, w **powstania pozostające w łączności z barbarzyńcami, tymi potencjalnymi niewolnikami** [podkr. A.W.]. Była to rewolucja, ale niepodobna do rewolucji burżuazyjnej, a tym bardziej do rewolucji socjalistycznej”<sup>13</sup>.

Nie trudno zauważyć, że w starciu teorii ze źródłami wygrały źródła. Ich milczenie doprowadziło do uelastycznienia koncepcji rewolucji feudalnej i całej teorii, przy czym owo uelastycznienie stawiało niemało znaków zapytania. Wypowiedzi Kosmińskiego i Tretiakowa, wsparte zręcznym zabiegiem polskiego historyka, który barbarzyńców potraktował jako „potencjalnych niewolników”, zaś ich najazdy na rzymskie imperium jako przejawy walk pozostających „w łączności” z walkami niewolników rzeczywistych, sankcjonowały kategorię „długotrwałej rewolucji”. Takie ujęcie pozbawiało rewolucję jej cechy istotnej, jaką była gwałtowna odmiana bazy (stosunków własnościowych, stosunków produkcji itp.). „Rewolucja ewolucyjna” czy też, by odwołać się do Braudelowskich asocjacji, rewolucja „długiego trwania” w ogóle przestawała być rewolucją<sup>14</sup>. Oczywiście w Otwocku nie było atmosfery po temu, by powiedzieć *explicite*, że przejście od niewolnictwa do feudalizmu w ogóle obyło się bez rewolucji. Co najwyżej można było tak jak Serejski skonstatować, że była to rewolucja „niepodobna” do innych.

<sup>13</sup> M.H. Serejski, *Sens ideologiczny okcydentalizmu historiografii burżuazyjnej. Problem przejścia od starożytności do średniowiecza. Problem postępowości powstań chłopskich*, w: tamże, s. 395.

<sup>14</sup> O „metaforze rewolucji” i jej miejscu w procesie poznania historycznego zob. W. Wrzosek, *Historia – kultura – metafora*, Wrocław 1995, s. 38–54. O „micie rewolucji”, przejawiającym się m.in. w skłonności do ujmowania dziejów w kategorii „przełomów”, por. J. Topolski, *Teoria wiedzy historycznej*, Poznań 1983, s. 166–169, szczególnie zaś: tenże, *Jak się pisze i rozumie historię. Tajemnice narracji historycznej*, Warszawa 1996, gdzie wyrażone zostało przekonanie, że: „Mit rewolucji nie dezawuuje mitu ewolucji. W obu przypadkach przecież chodzi o jakieś kierunkowe zmiany, o rozwój od stanów «niższych» do stanów «wyższych», a to czy dokonuje się to z przełomami czy bez (tzn. z kontynuacją czy dyskontynuacją) ma charakter drugorzędny” (s. 209).

\* \* \*

Kwestia tak zwanych luk źródłowych była niezwykle ważna, w Otwocku bowiem jeden z głównych akcentów położony został na zasadę partyjności nauki historycznej, zgodnie z którą historyk nie miał prawa wyboru dowolnego „obojętnego” przedmiotu badania. Historyk – instruowała Żanna Kormanowa — „wybiera zawsze taką epokę, zagadnienie, temat, które posiadają wyraźne, wciąż żywe związki z walką dziś toczącą się”, w związku z czym „nie zna w nagromadzonym w archiwach materiale zespołów «obojętnych», lecz idzie śladami minionych epok, szuka śladów pracy mas, ich walk klasowych, ich wielkiego wkładu do historii”<sup>15</sup>. Dyrektywa nakazująca koncentrację badań nad klasami wyzyskiwanym, walczącymi o wyzwolenie społeczne, a zarazem obkładająca anatemą dzieje klas wyzyskujących na wiele lat zahamowała u nas rozwój badań nad burżuazją czy też ziemiaństwem polskim, a także nad innymi „pasożytniczymi” grupami społecznymi. Ale to już nieco inna sprawa. W tym miejscu podkreślić wypadnie, że owa dyrektywa postawiła historyków w sytuacji dyskomfortowej — wszak klasy wyzyskiwane pozostawiły po sobie znacznie mniej materiałów źródłowych niż klasy wyzyskujące.

Kwestia klasowego oblicza źródeł podjęta została między innymi w referacie Celiny Bobińskiej, wygłoszonym w 1963 roku na IX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Warszawie<sup>16</sup>. Mimo iż od czasów otwockich upłynęło wówczas już lat kilkanaście, i to lat znaczonych takimi wydarzeniami jak Październik ’56 i towarzysząca mu polityczna odwilż, konwencja tego wystąpienia niewiele wykroczyła poza otwockie wzorce.

Głównymi kategoriami pojęciowymi, na których Bobińska osadziła swe wywody stały się „źródłotwórczość” i „źródłokonserwacja”, rozumiane jako „procesy uwarunkowane społecznie i klasowo”<sup>17</sup>. Autorka nie rozważała przy tym, czy istnienie źródeł uzależnione jest od samego historyka, od jego woli, umiejętności dostrzegania śladów przeszłości oraz ich warsztatowej obróbki. Było to myślenie oparte na założeniu, że jeśli źródeł nie ma, to znaczy, że klasa (grupa społeczna) albo ich nie wytworzyła (1), albo uległy one zniszczeniu ze względu na słaby poziom źródłokonserwacji lub niesprzyjające okoliczności, takie jak kataklizmy, wojny itp. (2).

Stawiając w centrum swej uwagi pierwszy z wymienionych wariantów Bobińska podkreślała, że kwestia luk źródłowych „przestaje być obojętna dla postępowania

<sup>15</sup> Ż. Kormanowa, dz. cyt., s. 136.

<sup>16</sup> Referat ten w nieco zmienionej wersji został włączony do książki: C. Bobińska, *Historyk – fakt – metoda*, Warszawa 1964, skąd poniższe cytaty.

<sup>17</sup> Bobińska podkreślała, że na potrzebę uwzględnienia społeczno-klasowego „procesu źródłokonserwacji” zwrócił jej uwagę Witold Kula w trakcie dyskusji na IX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich (Warszawa 1963); C. Bobińska, dz. cyt., s. 89.

badawczego, a staje się jednym z roboczych zagadnień od momentu, gdy przestajemy je traktować jako zjawisko przypadkowe i gdy odkrywamy, że są one zdeterminowane przez proces społeczny w sposób niejako prawidłowy, że pewne okoliczności historyczne powodują, iż określone klasy, a nawet całe narody w pewnych sytuacjach nie są źródlotwórcze<sup>18</sup>.

Bobińska jak gdyby nie brała pod uwagę, że o tym, czy coś jest źródłem historycznym czy nie, decyduje w znacznej mierze badacz przeszłości. Wprowadzając pojęcia „społecznej źródlotwórczości” oraz „wydajności źródłowej”, nie dostrzegała, że w takim ujęciu „klasy a nawet całe narody” jawić się mogą jako swego rodzaju robotnicy pracujący w wielkiej fabryce źródeł, które zawsze i wszędzie noszą charakter intencjonalny, czyli są wytwarzane jako produkty mające zaspokoić popyt wśród historyków kolejnych pokoleń. Przyjmowała zarazem, iż bywają sytuacje, w których fabryka ta może zostać zamknięta a poziom klasowej lub narodowej „wydajności źródłowej” sprowadzony zostanie do zera. Zapewne nieco precyzyjniejsze, choć też obciążone wadami, byłoby w tym wypadku pojęcie „śladotwórczości”, ale tę sprawę pozostawmy tu na uboczu.

Autorka jednej z pierwszych w PRL książek z zakresu metodologii historii wytykała historykom zbyt małą czujność w rozpoznawaniu istoty luk źródłowych. Podczas gdy „luki w zakresie źródłoznawstwa państwowego zawsze były dla historyków oczywistym odbiciem anomalii rzeczywistych, m.in. przeżywanej przez naród utraty państwowości [...], to odmienna jakościowo i ilościowo źródlotwórczość rozmaitych klas społecznych nie budziła już czujności historyków. Przeciwnie, uznawano w niej rzeczywiste i proporcjonalne odbicie znaczenia owych klas w życiu społecznym i historii. Jakże długo przewaga i ogromne bogactwo źródeł pochodzenia szlacheckiego traktowane było jako adekwatny dowód wyłącznej podmiotowej roli szlachty w dziejach narodu, jako świadectwo, że tylko szlachta kształtowała historię narodu. Źródlotwórcza indolencja klasy chłopskiej była zjawiskiem stałym. Klasa ta dawała o sobie znać za pośrednictwem dokumentów szlacheckich [...]. Tak ogólnie rzecz biorąc niepozostawianie po sobie źródeł powoduje wtórne upośledzenie mas – upośledzenie w naukowej tradycji<sup>19</sup>.”

Bobińska, mówiąc o wynikającym z niskiej źródlotwórczości „wtórnym upośledzeniu mas” dostrzegała, że owo upośledzenie miało również charakter wewnątrzklasowy (wewnątrzgrupowy). Inny stopień upośledzenia źródłowego cechował bogatego kmiecia, a inny biednego chłopca, inny zwykłego szlachciurę, a inny (zapewne zerowy) wielkiego magnata<sup>20</sup>. Co więcej, upośledzenie źródłowe przejawiało się nie tylko w obrębie źródeł pisanych, do których produkcji klasa musiała dysponować po pierwsze instytucjami wytwarzającymi źródła, takimi

<sup>18</sup> Tamże, s. 86–87.

<sup>19</sup> Tamże, s. 90–91.

<sup>20</sup> Tamże, s. 91.



jak urzędy, sądy, uczelnie i „inne cząstki nadbudowy”, oraz po drugie „kadrą intelektualną”. Były to warunki nie do spełnienia dla klas upośledzonych. Jednak również źródła materialne (archeologia, historia kultury materialnej), pozwalające w znacznej mierze wypełnić dotychczasowe luki w źródłach pisanych, odciskają na sobie piętno upośledzenia źródłowego klas wyzyskiwanych. Nierówność klasowa dawała o sobie znać „a nawet – jak pisała Bobińska – wzrastała w miarę rozwoju społeczeństwa klasowego i upływania czasu historycznego, gdyż czas ten był miłościwy dla kamienia, a bezlitosny dla drewna. To zaś ostatnie było tworzywem zabytków kultury, stylów, upodobań mas”<sup>21</sup>.

„Indolencja źródełotwórcza” klas i grup uciskanych (wyzyskiwanych) może być przewyżczona tylko w odwołaniu do teorii konfliktowego rozwoju społeczeństwa. Zdaniem Bobińskiej jeżeli nie ma źródeł wytworzonych przez te klasy, to wiedzę o ich życiu i walce można uzyskać ze źródeł o innej proveniencji klasowej. „Pochodząc przeważnie od klas panujących – pisała Bobińska – źródła noszą cechę ich stosunku do współczesności. Mianowicie wydarzenia zaszłości, będące wynikiem konfliktów, w dokumentach klas panujących występują jako owoc harmonii i kompromisów. Każdy niemal fakt prawny, kodeks, ustawa, konstytucja, stanowi akceptację, zwycięstwo jakiegoś programu, jakichś dążeń. Ideologiczna zaś zawartość tych aktów, najczęściej sugeruje, że są one owocem wzajemnych ustępstw i zgody z innymi dążeniami. Tym bardziej, że bezpośrednie świadectwa walki klasowej i wewnątrzklasowej dynamiki rozwojowej występują rzadziej, mają charakter oderwany, obfitują w luki źródłowe. Dopiero badacz uzbrojony w metodologiczną wiedzę o kontrowersyjnym, konfliktowym charakterze procesu społecznego, o jego klasowym mechanizmie wydobędzie z wymienionych akt to, że one same są często wynikiem konfliktów, dostrzeże ukrytą za nimi dynamikę tych konfliktów i odczyta ich pieczęć na samym tekście”<sup>22</sup>.

Czy jednak tak bogato uposażony w metodologiczne instrumenty badacz może opisywać wydarzenia, w których sam uczestniczył i które współkształtował, czy nie obowiązuje go zasada dystansu historycznego, obiektywizująca spojrzenie na przeszłość? Bo przecież on sam jest raczej źródłem niż historykiem, a jeżeli jest jednym i drugim naraz, to czy takie źródło-historyk może poddać się krytycznej „samoobróbce” i podjąć zadanie opisywania swych własnych dziejów? Zasadniczo nie może – odpowiadała Bobińska – bo w takim wypadku nie da się uniknąć tendencyjności. Jest jednak ważny wyjątek od tej reguły. Mamy z nim do czynienia wówczas, gdy jest to tendencyjność „z pozycji historycznego obozu rewolucyjnego”<sup>23</sup>. Taka tendencyjność to nie mankament, ale wręcz walor poznawczy – obwieszczała Bobińska – i na poparcie swych tez przywoływała

<sup>21</sup> Tamże, s. 104.

<sup>22</sup> Tamże, s. 95–96.

<sup>23</sup> Tamże, s. 152.

m.in. nazwiska Lelewela, Marksa, Engelsa i Lenina. Inaczej natomiast miało być z tendencyjnością reakcyjną. Zdaniem Bobińskiej: „Reprezentanci reakcji piszący o swych własnych czasach są zwykle niepomernie uparci w tradycyjnym patrzeniu na rzeczy, w patrzeniu z pozycji klas wstecznych i przegranych nawet wówczas, gdy same te klasy przestały już istnieć”<sup>24</sup>. Ten tok myślenia prowadził do wniosku, iż we współczesności właściwość źródła samoweryfikującego się przysługiwała tylko postępowym marksistom<sup>25</sup>.

Nałożenie przez Bobińską marksistowskiej siatki terminologiczno-pojęciowej na problematykę źródłozawczą przejawiało się nie tylko pod postacią tezy o „wtórnym upośledzeniu źródełotwórczym” mas, ale też przez wyodrębnienie takich kategorii jak „wydajność źródłowa grupy społecznej lub instytucji” i „hegemonia źródełotwórcza klas wyzyskujących”. Opowiadając się ostatecznie za takim instrumentarium terminologiczno-pojęciowym, Bobińska nawiązywała wyraźnie do wzorców otwockich. Nawiązywała również i wówczas, kiedy sens swoich rozważań określiła jako wstępny „plan boju, jakim jest przyszły plac badań”. Skojarzenia ze „zmilitaryzowanym” językiem czasów, gdy historia sytuowana była w pierwszym rzędzie „frontu ideologicznego”, a historycy traktowani jako walczący na tym froncie „żołnierze”, nasuwają się tu same. Wydaje się, że w latach sześćdziesiątych zarówno treść, jak i forma wystąpienia Bobińskiej nosiła już wiele cech epigonizmu. W każdym razie w żadnym z dwóch wydanych w 1968 roku podręczników metodologii historii, z których pierwszy był autorstwa nieskrępowanej marksizmem „tradycjonalistki” Wandy Moszczeńskiej, a drugi Jerzego Topolskiego, reprezentującego nurt marksizmu „otwartego” (oddogmatyzowanego), nie odnajdziemy już nic, co dałoby się skojarzyć z „wstępnym planem boju” zarysowanym przed pięć laty przez Celinę Bobińską.

---

<sup>24</sup> Tamże, s. 153.

<sup>25</sup> Tamże, s. 154.